

Inny świat jest możliwy

Piotr Chałubiński, Rafał Rykowski

17 lutego 2014

Spis treści

Ya basta – Indianie mają dość	3
Jesteśmy buntownikami, nie rewolucjonistami	4
Zdradzona rewolucja	5
Małe sukcesy	6

W kwaterze zapatystów w meksykańskim Oventik, gdzie lud wydaje rozkazy, a rząd je wypełnia

W zawiesistej porannej mgle trudno cokolwiek dojrzeć. Ledwo odnajdujemy niewielką, zardzewiałą tablicę z napisem „Tutaj lud wydaje rozkazy, a rząd je wypełnia”. W tym miejscu kończy się Meksyk, a zaczyna terytorium zapatystów. Przy bramie leniwie oparty partyzant w kominiarce pali papierosa. Dotarliśmy do Oventik – reprezentacyjnej kwatery indiańskich rebeliantów z meksykańskiego stanu Chiapas. W sylwestra 1994 r. zajęli oni pobliskie San Cristóbal de las Casas, aby zaprotestować przeciwko biedzie, krzywdzie i upokorzeniu. Nazwali siebie zapatystami od nazwiska Emiliana Zapaty, bohatera rewolucji meksykańskiej z 1910 r., zdradzonego i zamordowanego przez byłych sprzymierzeńców.

Do Oventik zwabiła nas sława tajemniczego, zamaskowanego subcomandante Marcosa, który dzięki talentom medialnym i charyzmatycznej osobowości zmienił lokalny desperacki bunt Indian w sprawę całego świata. Trafił w dziesiątkę. Zapatyści doskonale wpisywali się w obowiązującą w latach 90. i w pierwszej dekadzie XXI w. intelektualną modę na lewicy: żadnej scentralizowanej struktury, obowiązującej wszystkich ideologii, doktryny, jedynie „siła wielości” ruchów alternatywnych. Mieści się tu zarówno marksizm, jak i anarchizm. Ekologia i feminizm. Nacjonalizm i liberalizm. Wiele składników, jeden wróg – zachłanny, hegemoniczny neoliberalizm firmowany przez Wall Street i rozwinętą gospodarczo Północ, która wyzyskuje biedne Południe od czasów europejskiej kolonizacji.

Ya basta – Indianie mają dość

– Paszport – rzuca sucho partyzant przy bramie.

– OK, bueno – odpowiadamy. Rebeliantom w takich sprawach się nie odmawia. Sprawdzają dokumenty, pytają o cel wizyty, zaglądają do plecaków, obszukują kurtki.

– Tylko nie róbcie zdjęć samochodom ani ludziom bez masek. Nie lubią tego i bywają nerwowi – partyzant uśmiecha się nieznacznie, ewidentnie zadowolony ze swojego żartu.

Po kilku minutach kontrola dobiega końca. Odprowadzani czujnym wzrokiem indiańskiego pogranicznika przekraczamy bramę wioski. Terytoria partyzanckie stanowią łącznie ok. 30% powierzchni stanu Chiapas. Liczebność „armii” jest tajna ze względu na formalnie wciąż trwający konflikt z meksykańskim rządem. Szacuje się, że stanowi ją od kilkudziesięciu do 100 tys. osób. Wojnę trudno tu jednak wyczuć i gdyby nie tablice informacyjne, zapatystów można by zwyczajnie przegapić. Ta bardziej namacalna, wywołana przez kartele narkotykowe, toczy się przede wszystkim na północ i na zachód od Chiapas.

Z pobliskiego domu dochodzi gwar i śmiech. Czujemy się coraz swobodniej.

– Warunki mamy skromne. Nie mamy papieru toaletowego – rzuca na odchodne strażnik – ale możecie się napić pepsi.

Teraz my się uśmiechamy. Napój gazowany amerykańskiego giganta nie pasuje nam do indiańskich rebeliantów.

„Nie mamy nic do stracenia, absolutnie nic. Nie mamy dachu nad głową, ziemi, pracy. (...) Wzywamy wszystkich naszych braci do przyłączenia się do krucjaty. To jedyna opcja,

aby uniknąć śmierci z głodu!” – tak brzmi fragment manifestu zapatystów sprzed 20 lat. Indiańscy partyzanci zeszli z gór w sylwestra 1994 r. Tego dnia w życie wchodziła NAFTA – umowa o wolnym handlu ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Porozumienie uderzało w małe gospodarstwa rolne (zniesienie ceł) i łączyło się z zakazem kolektywnej własności ziemi, tradycyjnej formy gospodarowania na tych terenach. Spadkobiercy Majów stanęli nagle przed wyborem: głód lub śmierć na wsi albo równie upodlające życie w miejskich slamsach. Postanowili walczyć. Uzbrojeni głównie w stare karabiny, pałki i noże opanowali stolicę okręgu – San Cristóbal de las Casas. Domagali się reform politycznych i większych praw dla Indian. Nazwali się Ejército Zapatista de Liberación Nacional (EZLN), Zapatystowską Armią Wyzwolenia Narodowego.

Bunt w Chiapas dojrzewał od przełomu lat 80. i 90. Władzę trzymała tu twardo nieliczna grupa latyfundystów z siedzącymi u niej w kieszeni lokalnymi watażkami. Polityków przekupywano i zastraszano, chłopów bito i zabijano. Panowała ogromna bieda. Większość mieszkańców nie miała dostępu do elektryczności, kanalizacji ani wody pitnej. Równocześnie do dżungli na południu Meksyku trafiało coraz więcej zbuntowanych i represjonowanych intelektualistów. Głównie marksistów, którzy mieli dość 70 lat autorytarnych rządów Partii Rewolucyjno-Institucjonalnej (PRI) i marzyli o rewolucji proletariackiej. Na miejscu zobaczyli, że ich retoryka nie trafia do adresatów, zaczęli więc ją modyfikować, uwzględniając tradycje Majów oraz lokalne zwyczaje i potrzeby.

Jesteśmy buntownikami, nie rewolucjonistami

Strażnik w kominiarce puka do drzwi chaty. Po chwili pojawia się inna zamaskowana postać – Alonso. Chłopak pełni dyżur w „sekcji informacyjnej”, której zadaniem jest oprowadzanie turystów po wiosce i opowiadanie o zapatystach. To pierwsza, oczywiście obowiązkowa część wizyty.

Czego nie ma w zapatystowskiej izbie! Na ścianach portrety Che Guevary, Hugo Cháveza oraz sztandary światowych ruchów robotniczych. „Jedność w wielości”. Nie brakuje nawet wielkiej flagi Meksyku!

– Son rebeldes, no son revolucionarios (jesteśmy buntownikami, nie rewolucjonistami) – podkreśla Alonso na wstępie, widząc nasze zdziwienie.

Samo pomieszczenie urządzono niezwykle skromnie. Ława i stół. Pod sufitem nerwowo jarzy się żarówka, która co chwilę gaśnie i błado rozbłyskuje, oświetlając zamaskowane twarze rebeliantów.

Spotkanie jest raczej wykładem niż rozmową. Zbitką sloganów, oficjalnych manifestów i okolicznościowych odezw. Towarzyszące naszemu przewodnikowi rewolucjonistki, młoda, 20-letnia, i druga, wyglądająca na jej babcię, raczej się nie wtrącają. Rewolucja zapatystów często ma „twarz kobiety”, jak głosi hasło, ale ciągle zbyt rzadko jej głos. „Indiański feminizm” przejawia się m.in. w tworzeniu kobiecych kooperatyw i walce z plagą alkoholizmu wśród mężczyzn. Miejscowi piją dużo wódki. Szczególnie popularny jest pox – bimber pę-

dzony z trzciny cukrowej. Indianie, którzy schodzą z gór do miast na handel, dzień kończą w barach.

Zdradzona rewolucja

Drewniane chaty ozdobione malowidłami wynurzają się z mgły. Motywy indiańskie mieszają się z rewolucyjnymi. Lokalne z globalnymi. Obok malunków kobiet z karabinami i kolb kukurydzy znaleźliśmy oczywiście Emiliana Zapatę – bohatera rewolucji meksykańskiej zwabionego w zasadzkę i zastrzelonego przez „oficersko-miejskie” skrzydło rewolucji. Szybko stał się on legendą, symbolem walki przeciw krzywdzicielom. Wtedy sprawa Indian (czy szerzej metysko-indiańskiego chłopstwa) przegrała. Rewolucja nieco ograniczyła latyfundia, ale ich nie zniosła. Na reformie rolnej skorzystali przede wszystkim biali chłopci, nie Indianie. Do tej pory 40% terytorium Chiapas znajduje się w rękach wielkich właścicieli ziemskich.

W wiosce są też wizerunki Marcosa – słynnego subcomandante, tajemniczego „delegata zero”. Pochodzący z miasta Marcos był przeciwieństwem zamkniętych w sobie Indian. Dzięki talentom organizacyjnym i medialnym nadał partyzantce nowoczesny wizerunek. Wykorzystywał internet już wtedy, kiedy w „Newsweeku”, dziś w całości cyfrowym, pojawiały się sceptyczne artykuły o przyszłości sieci.

Zawsze w masce i z nieodłączną fajką. Dla wielu stał się niekwestionowanym symbolem zapatystowskiej rebelii, który sprawił, że bunt nie został zdławiony w zarodku. Protestował jednak przeciw nazywaniu go liderem i podkreślał rolę innych, równie tajemniczych dowódców. Stąd podobno wziął się stopień subcomandante (podkomendanta), bo prawdziwym komendantem jest lud. Marcos, wielbiciel literatury iberoamerykańskiej, lubi poetycko-rewolucyjną symbolikę. Według rządu w Meksyku i mediów, nazywa się Rafael Sebastián Guillén Vicente i był profesorem filozofii na uniwersytecie w mieście Meksyk (Universidad Autónoma Metropolitana). Jego rodzice pochodzili z konserwatywnej klasy średniej. Bardzo dbali o edukację swoich dzieci. Punktem zwrotnym były dla niego rok 1968 i masakra protestujących studentów na placu Trzech Kultur w Ciudad de México. Chrzest bojowy przeszedł w Nikaragui, walcząc po stronie sandinistów przeciw ponurej dyktaturze Anastasia Somozy. Żadne informacje na temat Marcosa nie zostały w pełni potwierdzone.

W 1994 r. rebelia w Chiapas dzięki sprawnemu posługiwaniu się mediami przez partyzantów szybko stała się sprawą międzynarodową. Władza, która wysłała na południe oddziały specjalne, nie mogła już utopić buntu we krwi, jak zdarzało się wcześniej. Prezydent Carlos Salinas de Gortari musiał podjąć negocjacje. W roku 1996 zawarto rozejm w San Andrés, który dawał Indianom znaczną autonomię. Jego postanowień nigdy nie wcielono w życie.

Często dochodziło do zbrojnych starć partyzantów z wojskami federalnymi lub prorządowymi bojówkami. W 1997 r. doszło do masakry ludności indiańskiej w miejscowości Ac-teal, otwarcie sympatyzującej z zapatystami. „Nieznani sprawcy” zamordowali 45 osób: 20

kobiet, siedmiu mężczyzn i osiemnaścioro dzieci. Władze i stanowa oligarchia stanowczo zaprzeczyły jakimkolwiek powiązaniom z mordercami. Bandytów nigdy nie osądzono.

Nadzieja na zmiany przyszła z upadkiem PRI. Pod koniec 2000 r. prezydentem Meksyku został Vicente Fox. Kilka miesięcy później powstańcy, aby przypomnieć o swojej sytuacji, zorganizowali słynny „marsz ziemi”. Przeszli ze stanu Chiapas aż do stolicy kraju. Marsz wzbudził mieszane uczucia. Marcos i jego komendanci ogłosili nieco poetyckie i mało konkretne deklaracje, po czym wrócili do siebie. Zawiedzeni byli zarówno ci, którzy spodziewali się ogólnonarodowego zrywu rewolucyjnego, jak i ci, którzy wieszczili „czerwoną apokalipsę”.

Małe sukcesy

W drodze powrotnej zahaczamy o wojskowy checkpoint. Mały posterunek obłożony workami z piaskiem. Punktu pilnuje trzech chłopaków z większymi od nich karabinami. To stały element meksykańskiego pejzażu. Żołnierze zatrzymują wyrywkowo samochody, zaglądają do toreb i bagażników. Świecąc latarkami, sprawdzają dokumenty. Jak na odprawie granicznej. „Wracamy” do Meksyku i po nieco ponad godzinie docieramy do San Cristóbal. Noc jest dość chłodna, nawet jak na miejscowe warunki, postanawiamy rozgrzać się czymś mocniejszym. Trafiamy do baru Rewolucja. Lokal, podobnie jak zapatystowską izbę, zdobią portrety lewicowych bohaterów. Jest głośno, wesoło, międzynarodowo. Przez cały rok knajpa zapchana jest backpackersami. „Chcą świata, który pomieści wiele światów”, jak głosi jedno z bardziej znanych haseł zapatystów. W barze Rewolucja alterglobalizm naturalnie miesza się z zabawą, flirtem i tańcem. Bunt podlany jest indiańską egzotyką i dużą ilością tequili.

Choć zapatyści nie doprowadzili do zmiany konstytucji ani większej demokratyzacji instytucji państwowych, na pewno osiągnęli kilka sukcesów. Pokazali sobie i całemu światu, że bez rządu w Meksyku mają się całkiem dobrze. Bez nich też inaczej wyglądałby ruch alterglobalistyczny, który mocno utożsamiał się z buntem Indian. To w końcu oni, często z atrapami karabinów, stanęli na drodze triumfalnego pochodu neoliberalizmu i odsłanili przed światem wiele jego problemów.

Zapatystowska struktura autonomiczna jest całkowicie niezależna od rządu. Impulsem do jej rozwoju było fiasko wspomnianego już „marszu ziemi” w 2001 r. Indianie uznali, że skoro nie mogą mieć autonomii de jure, będą ją mieli de facto. Rozpoczęli tworzenie w Chiapas kilkudziesięciu autonomicznych municipios (gmin, odpowiadających drugiemu stopniowi podziału administracyjnego Meksyku).

Autonomia nie przyniosła Indianom bogactwa, a dochody zapatyści czerpią głównie z rolnictwa. Pieniądze zarabiają także na sprzedaży pamiątek dla turystów: hamaków, toreb, breloczków czy koców, których mnóstwo na lokalnych bazarach. To wciąż bardzo ubodzy ludzie. Ale na swoim. Wielu rolników nadal nie stać nawet na buty. Rewolta nie stała się początkiem gospodarczego rozkwitu na miarę europejskich wyobrażeń, za to przywróciła godność i nadzieję na przyszłość.

Jest też dużo małych, ale wymiernych sukcesów. Przykładem może być służba zdrowia. Pomoc lekarska dla kobiet w ciąży w okręgach zarządzanych przez zapatystów jest dwukrotnie łatwiej dostępna niż w innych częściach stanu Chiapas, co sprawia, że znacząco zmniejszyła się umieralność niemowląt. Dobrze funkcjonują też zapatystowskie szkoły. Dzięki edukacji wyraźnie wzrosła m.in. pozycja kobiet we wspólnotach. Udało się również zmniejszyć rozmiary alkoholizmu wśród mężczyzn, choć to nadal powszechny problem. Prężnie działają sądy, które pilnują przestrzegania wspólnotowych praw.

Popularne hasło „Wszystko dla wszystkich, dla nas nic” nie zostało do końca spełnione, ale coraz częściej pojawiają się głosy, że zapatyzm i moda nań dogasają. W samym ruchu brakuje dawnego żaru, a subcomandante Marcos prawdopodobnie przeszedł na polityczną emeryturę. Co jakiś czas jednak zapatyści potrafią się zmobilizować i pokazać swoją siłę. W ciągu ostatnich kilku lat Indianie zorganizowali dwie kilkudziesięciotysięczne manifestacje (przeciw tzw. wojnie z narkotykami toczonej przez rząd centralny z kartelami oraz w 15. rocznicę masakry Indian w Acteal). Czas pokaże, czy ruch istnieje już tylko siłą inercji, czy jest zdolny do zmiany i zdefiniowania na nowo celów działania społecznego. A może pozostanie przede wszystkim latynoamerykańskim symbolem walki o sprawiedliwość, tak jak jego patron, Emiliano Zapata?

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Piotr Chałubiński, Rafał Rykowski
Inny świat jest możliwy
17 lutego 2014

tygodnikprzeglad.pl

pl.anarchistlibraries.net